

# KOLEJARZE.

Powieść na tle stosunków kolejowych

napisał

**ARTUR GRUSZECKI.**

6

(Ciąg dalszy).

— To wszystko, co miałem panu do powiedzenia — skłonił lekko głową na znak ukończenia audyencji.

Inspektor Lerche szedł przez kurytarz do swego biura z dumnie podniesioną głową. Z uśmiechem zadowolenia podkreślił wąs szpakowaty, czuł się podniesionym nie tylko względami dyrektora, ale posiadana władza nad urzędnikami, którzy wzięli udział w zgromadzeniu. Już on wywie się o wszystkim nie tylko co zaszło, ale co zamierzają i z wynikiem śledztwa pójdzie do dyrektora.

Ale wpięć musi napisać to sprostowanie do dziennika. Dyrektor żąda, aby było bezstronne i poważne. Dobrze, napisze i takie. Wszedłszy do swego biura zapowiedział, aby mu nie przeszkadzano i zamknął drzwi. Usiadł za biurkiem, rozłożył arkusz białego papieru, przygotował świeże pióro, i zaczął czytać poranny dziennik z opisem zgromadzenia.

Oburzył go ton dziennika i drwiny z urzędników taktownych i czujących swą godność, których nazwano puszczykami i czarno-żółtymi reakcyonistami...

Skończył czytanie, odrzucił dziennik, wstał, zapalił papierosa, i przechadzał się po biurze, układając w myśli sprostowanie.

Spojrzał na zegarek, była godzina jedenasta. Ponieważ zwykle wychodził na śniadanie o dwunastej, postanowił szybko napisać sprostowanie, zanieść do dyrektora i wyjść.

Usiadł, napisał wielkimi literami: „Sprostowanie“.

Namyslił się jednak, że taki tytuł jest zły, odrzucił arkusz, wziął świeży i napisał: „W imię prawdy!“

Lecz znów „Prawdą“ nazywał się dziennik poranny.

Odrzucił arkusz, zaklął i postanowił samej redakcji zostawić tytuł.

Pisał, darł, znów zaczynał, przeklinał dyrektora, że wymaga od niego sprostowania i wreszcie po godzinnym zmęczeniu napisał artykuł. Z uśmiechem zadowolenia odczytał, a spojrzawszy na zegarek, wskazujący dwunastą, poszedł szybko do dyrektora, aby mu odczytać i pójść na śniadanie.

Dyrektor ujrawszy wchodzącego podniósł na niego oczy i rzekł z uśmiechem:

— Nareszcie...

— Daruje pan radca dworu, ale...

— Proszę, czytaj pan.

Odczytał i zaczął czytać:

— Całe miasto, a zwłaszcza sfery miarodajne, zostały zaalarmowane beczelną napaścią szmaty porannej, która jak na pośmiewisko nosi tytuł „Prawdy“, a jest stekiem kłamstwa i podłości złośliwej, dążącej do zohydzenia stanu urzędniczego i podsunięcia mu nielojalnych uczuć względem rządu i bezpośrednich naczelników.

Inspektor spojrzał, jakie wrażenie robią jego słowa, lecz twarz dyrektora była zimna i obojętna, więc czytał dalej:

— Mała garstka niższych urzędników postanowiła wobec drożyzny miejskiej szukać pomocy we własnej oszczędności, nie domyślając się, że wszechstronna opieka i pieczołowitość rządu za pośrednictwem dyrekcji kolejowej zamierza utworzyć taką kasę...

— Dosyć panie inspektorze — zawołał surowym, profesorskim głosem dyrektor — to nie jest sprostowanie, którego żądałem... Proszę napisać krótko, węzłowato i poważnie, bez ironii i złośliwości... Czekam.

Inspektor skłonił się, wyszedł zły i gniewny. Zmiał w kieszeni arkusz zapisany i sapiąc poszedł do swego biura. Skrzyżował woźnego, że mu nie dość szybko drzwi otworzył, groźnie spojrzał na podwładnych i zamknawszy drzwi przechadzał się po biurze mrucząc:

— Pisać mi każe... czy ja pismakiem? gazeciarzem?... dyabli wzięli apetyt, śniadanie... psia służba, gorszej niema na świecie...

Gdy cokolwiek ochłonął z gniewu, począł rozmyślać nad nieszczerstwem sprostowaniem.

Siadł, pisał, darł napisane... nagle przypomniał sobie, że przecież w dyrekcji jest adjunkt, przeciw któremu prowadził śledztwo, z powodu podejrzenia tego młodego człowieka, gdy był na prze-

strzeni, że pisuje korespondencje nielojalne do jednego z pism:

A gdyby mu kazać napisać?... Jednak może to nie wypada, dyrektor jemu polecił i w rezultacie on już napisał, a że dyrektor nosem kręci, czy to jego wina?

Lecz jak tu wytłomaczyć adjunktowi przyczynę, że żąda się od niego napisania?

Znów zaczął pisać, ale nie szło, zaklął i naciśnął guzik dzwonka.

Woźnemu kazał poprosić adjunkta z wydziału ruchu.

Wszedł smukły, przystojny szatyn i skłoniwszy się czekał.

— Jestem nadzwyczajnie dziś zajęty — zaczął inspektor — a tu trzeba dać sprostowanie, rodzaj odpowiedzi na artykuł dziennika „Prawda...“ Zapewne pan czytał?

— Czytałem.

— Otóż proszę pana, aby pan napisał bezstronne, poważne sprostowanie. Rozumie pan?

— Rozumiem... ale co właściwie mam sprostować... zgromadzenie odbyło się mniej więcej tak, jak podano.

— Ach, pan tam był? — uśmiechnął się.

— Byłem.

— To dobrze, pogadamy o zgromadzeniu, bo jestem ciekaw przebiegu i żałuję, że nie byłem... Ale przede wszystkim sprostowanie...

— Dobrze... ale czego?

— Hm... widzi pan, takie wyrażenia, jak: „puszczyk“, dalej „czarno-żółty reakcyonista...“ no, i ten ton socjalistycznej radości, gdy kolejarzom chodziło tylko o własny interes, a nie o ideę socjalistyczną.

— Czy nie było tam socjalizmu? — uśmiechnął się — tego dobrze nie wiem.

— No, no, dajże pan spokój — oburzył się inspektor — tegoby jeszcze brakowało, aby urzędnicy państwowi... nie, to niemożliwe... Otóż napisz pan coś w rodzaju obrony, czy coś takiego... pan wiesz już.

— Ostatecznie ton „Prawdy“ nie był właściwy i jeśli pan inspektor sobie życzy...

— Tak jest, nawet proszę o napisanie i... przeczytam.

— Dobrze.

— Ale pospiesz się pan... czekam.

Gdy adjunkt wyszedł, inspektor zaniepokojony, zapalił papierosa i rozmyślał o sprostowaniu i zgromadzeniu. Taki młodzik, co to niema biura całego na głowie, może napisać... on poprawi, no i pozbędzie się kłopotu. Ale w tym zgromadzeniu tkwi coś złego, nawet się nie oburzył ten adjunkt, gdy wspominałem o socjalizmie. Coś w tem jest i muszę dojść. Sprawa poważniejsza, aniżeli przypuszczałem, rozmyślał inspektor, a przed oczyma jego stało widmo socjalizmu... bezrząd, niema wojska, policji, żandarmerji; prawa zdeptane, urzędy rozpędzone, orgia kobiet i mężczyzn, kościoły shańbione... Wzdrygnął się inspektor, a w tem wszedł adjunkt.

— Już? — zdziwił się szczerze.

— Gotowe.

— Dziękuję... proszę mi zostawić, przejrzę czy dobrze.

Adjunkt położył arkusz na biurku i wyszedł.

Po jego wyjściu pochwycił inspektor arkusz, przeczytał, wzruszył lekceważąco ramionami i mrknął:

— Właściwie to nie jest sprostowanie... moje sto razy lepsze... no, zobaczymy, co on powie... za dziesięć pierwsza.

Szybko przepisał, poszedł do dyrektora i czytał:

— Ze strony kolejarzy otrzymujemy wyjaśnienie, że opis onegdajszego zebrania kolejarzy, umieszczony w „Prawdzie“, nie jest ścisłym w szczegółach, a zwłaszcza w ogólnym tonie rozpraw. O socjalizmie, o fachowej organizacji nikt ze zgromadzonych nie wspominał, a tem mniej nie było gwizdów, sykań, naśmiewań się, gdy garstka uczestników opuściła salę w późniejszej godzinie, zapewne w celu posilenia się po wrażeniach.

— Zaraz panie inspektorze — przerwał mu dyrektor — wykreśl pan to posilenie się po wrażeniach... niepotrzebne... proszę jeszcze raz odczytać.

Inspektor usłuchał i czytał dalej:

— Zgromadzenie kolejarzy uchwaliło założenie kasy i postanowiło rozciągnąć opiekę moralną i materyjalną nad ogółem pracowników kolejarskich, bez ubocznych względów na stronnictwa tak polityczne, jak i społeczne... Skończyłem panie radco dworu.

— Teraz lepiej — pochwalił dyrektor — jest

takt, powaga i bezstronność... dziękuję panu... i zaraz odesłać do redakcji... Ale, ale, dodaj pan przy końcu: jak przystało na urzędników państwowych szanujących swą godność.

Inspektor będąc na kurytarzu mrknął drwiąco:

— I temu durniowi to się podobało... takie nie, bez ognia, bez siły... no, no i pracuj tutaj.

Inspektor Lerche zajął się pilnie w następnych dniach badaniem historii zgromadzenia. Otrzymał spis uczestników z wymienieniem kto i w jakim duchu przemawiał. Równocześnie rozpuścił wieść, że dyrekcja dlatego nie zajmuje się pilnie kasą, przysłała i nie będzie jej otaczała swoją opieką, gdyż są wiadomości pewne, iż sam rząd założy podobną kasę i nie poskąpi potrzebnych funduszy.

## VII.

Już na drugi dzień dowiedział się inspektor Lerche, że inicjatywa kasy i zgromadzenia wyszła od grupy ludzi, młodych urzędników, a mianowicie od Stańskiego, Berkholca, Schillinga, Kudzyńskiego i Gierlicza, a reszta tak z delegacji, jak i z wybranej komisji i komitetu, byli wciągnięci. Nie rozumieli i nie znali celu zgromadzenia, a wystąpienie Stańskiego było niespodzianką dla nich.

W środę przystąpił do przesłuchania, i wpięć postanowił pociągnąć do badania mniej winnych, a dopiero po obciążających Stańskiego szczegółach, których spodziewał się odkryć, wezwać go do siebie. Zasiadł w swym pokoju za biurkiem na fotelu z miną surowego sędziego i kazawszy zawołać Gierlicza przemówił:

— Dyrekcja dowiedziawszy się o antiurzędowej, antipaństwowej agitacji wśród urzędników, postanowiła zbadać sprawę i stosownie do wyników śledztwa postąpić z winnymi przekroczenia przewidzianego w ustawach. Wezwałem pierwszego pana, gdyż pan ma stanowisko, ma pan żonę, dzieci, dotychczasowa służba pana była, jak widzę z aktów osobistych, nienaganną i przykro pomyśleć, że pan swym zachowaniem popsuł sobie karierę... Jedynie szczerem wyznaniem prawdy może wyjść pan cało z tej sprawy.

Gierlich słuchając tej przemowy pobladł, w niczem nie czuł się winnym. Wprawdzie przez ciekawość został do końca posiedzenia, ale głosował przeciw wnioskowi Stańskiego. W umyśle jego przemknął się obraz przyszłości... zostaje przeniesiony z miasta, gdzie kształcą się dzieci, gdzieś na przestrzeń, na zapadłą stację, wytaczają mu dyscyplinarkę, nastąpi kara, a już o jakimkolwiek awansie ani marzyć. Zadrżał i rzekł głosem pokornym:

— Panie inspektorze, Bóg mi świadkiem, że nie poczuwam się do żadnej winy... Wiem, że jestem urzędnikiem, wiem, że z łaski rządu mam kawałek chleba... gdzieżbym występował przeciw rządowi, przeciw państwu! Wszystko powiem, niech pan inspektor pyta.

— Skąd panu przyszła myśl o kasie i zgromadzeniu?

— Przyszedł do mnie Stański i Schilling, namawiali, prosili, obiecywali złote góry... wreszcie nakłonili mnie, że poszedłem w deputacji. Ponieważ wszystko miało iść drogą urzędową, zażądałem od nich, aby pan inspektor Kuliński był prezesem, a pan dyrektor, radca dworu udzielił pozwolenia.

— I nikt więcej nie namawiał pana?

— Czy nikt? — namyslał się — owszem i Berkholc i Kudzyński tłumaczyli mi konieczność założenia kasy i dziękowali za deputację.

Zaczęły się szczegółowe pytania, kto, co i jak mówił przed, w czasie i po posiedzeniu i wreszcie wypuścił inspektor z pokoju zmęczonego, spoconego i przerażonego Gierlicza.

Następnie wezwał Schillinga, który miał od swych przełożonych niezbyt pochlebne uwagi, tak co do swej pracowitości, jak i zachowania się. Stał przed nim blondyn, wysoki, lekko pochylony, z wiecznym uśmiechem na pół szyderczym, na pół wesołym, na swej semickiej twarzy.

Po przedwstępnych badaniach spytał inspektor:

— W jakim celu namawiał pan do założenia kasy?

— Ja potrzebuję i moi koledzy taniego kredytu, my nie mamy wysokich pensji, ale mamy wielkie potrzeby, jak zwykle młodzi — zaśmiał się.

— Należy się oszczędzać, żyć stosownie do dochodów — upomniał inspektor.

— To są słowa — uśmiechnął się — nikt nie żyje stosownie do swych dochodów, nawet taki